



# GRAHAM MASTERTON

## TAŃCZĄCE MARTWE DZIEWCZYNKI

Thriller  
z Katie  
Maguire

# Rozdział 1

Ledwie zaczęli tańczyć do *Blackthorn Stick*, Catriona potknęła się i zatrzymała. Szarpnęła Brendana za rękaw, zmuszając go, by również się zatrzymał. Mała Aoife, która była tuż za nimi, omal na niego nie wpadła.

– Co jest?! – krzyknął na nią Brendan. Musiał podnosić głos, żeby przekrzyczeć płynące z głośników dźwięki piszczałek i skrzypiec oraz stukot butów pozostałych czternastu tancerzy na parkiecie, który wracał odbity echem od ścian pomieszczenia.

– Nie macie wrażenia, że coś się pali?! – zawołała Catriona.

Brendan i Aoife kilka razy pociągnęli nosami.

– Nie, Cat, to tylko spaliny – odparł chłopak.

– Jasne! To ten koleś, Noonan, z zakładu pogrzebowego obok! Zawsze zostawia swój stary karawan na uruchomionym silniku, żeby nie wyzionął ducha, zanim on będzie musiał pojechać na cmentarz! Rano, jak wszedłem do studia, mało się nie udusiłem!

– Brendan? Catriona? Macie jakiś problem?! – zawołał Nicholas, nauczyciel tańca. Stał obok odtwarzacza płyt w drugim końcu sali; jedną rękę opierał na biodrze, w dru-

giej trzymał przy uchu telefon. Był łysy, miał starannie przystrzyżoną siwą kocią bródkę i kolczyk z brylantem w jednym uchu.

– Nie, nie, Nicholasie, wszystko w porządku! – odparł Brendan. Parę razy tupnął nogami, żeby wpaść w rytm, i podjął przerwany taniec. Aoife dołączyła do niego, lecz po chwili znów stanęła i marszcząc nos, zaczęła węszyć w powietrzu.

– Chyba masz rację! – krzyknęła, nachylając się w stronę Catriony. – Coś tu śmierdzi i według mnie nie jest to karawan Noonana! Zresztą, jakim cudem spaliny dostałyby się na klatkę schodową?

Catriona raz i drugi nabrała głęboko powietrza i pokiwała głową.

– I jakby był mocniejszy, co nie? Sama nie wiem. Pachnie jak dym z Browaru Murphy’ego, tyle że wyraźniej czuje się spaleniznę.

Zamierzała pomachać do Nicholasa, zobaczyła jednak, że ten klęczy przed Sinéad i pomaga jej zawiązać sznurowadło. Wyglądał, jakby się jej oświadczał, choć to – oczywiście – nie wchodziło w grę, bo Nicholas wziął przecież ślub ze swoim partnerem Tadhgem.

– Pójdę się rozejrzeć – rzuciła do Aoife.

Żwawym krokiem przecięła salę i podeszła do drzwi prowadzących na klatkę schodową; blachy na podeszwach butów stuknęły o podłogę. Była wysoką, chudą dziewczyną, bladą i piegowatą, z grzywą rudych włosów, które związywała wstążką na czubku głowy, przez co nie musiała zakładać peruki. Tego ranka miała na sobie prostą, szmaragdowo-zieloną sukienkę do tańca i żadnego makijażu – w końcu to była tylko próba.

Kiedy podeszła do drzwi, Nicholas wstał i wyłączył muzykę. Wraz z nią ustał stukot butów na parkiecie.

– Tańczycie nierówno! – oburzył się. – Chryste, brzmiacie jak stado królików na blaszanym dachu! Wszystko przez to, że niektórzy z was przy podwójnym stuknięciu nie dość wysoko unoszą nogi. No już, przecież wiecie, na co was stać! Zaczynamy od nowa!

Teraz, kiedy w studiu panowała cisza, Catriona słyszała dobiegający zza drzwi dziwny dźwięk. Przypominał oddychanie, któremu towarzyszy szelest, jakby wiatr nawiewał do tunelu suche liście.

– Cat?! Dokąd to?! – zawołał Nicholas. – Chyba nas nie opuszczasz?!

– Czuć tu dym – powiedziała. – Chciałam zobaczyć, skąd ten zapach.

Nicholas wciągnął powietrze.

– Nie – odparł. – Nic nie czuję. Ale dalej mam jeszcze zatkany nos.

– Mówiłem ci – odezwał się Brendan. – To Noonan grzeje swój karawan. Chce nas wszystkich potruć, żeby mieć więcej klientów.

Catriona chwyciła za klamkę.

– Święty Józefie – bąknęła i gwałtownie cofnęła rękę, klamka była bowiem gorąca jak czajnik z wrzątkiem.

– Czekamy na ciebie, Catriono! – przypomniał jej Nicholas.

Naciągnęła rękaw sukienki, tak że zakrywał jej dłoń, nacisnęła klamkę i szarpnięciem otworzyła drzwi. W tej samej chwili poczuła za plecami gwałtowny podmuch powietrza, jak gdyby horda rozjuszonych duchów próbowała minąć ją i wypaść na klatkę schodową. Jej sukienka załopotała,

a rude loki pofrunęły do góry z osobliwym świstem, który miał w sobie coś smętnego, a zarazem triumfalnego.

Klatkę schodową wypełniał jasnoszary dym, który w zetknięciu z powietrzem wyssanym ze studia świsnął ogłuszająco i eksplodował pomarańczowym piekłem. Ogień z rykiem wdarł się przez drzwi i wzbił pod sam sufit. Rozszalałe płomienie zamknęły się wokół krzyczącej Catriony i pomknęły ku pozostałym tancerzom. Niektórzy upadli na kolana, inni zakrywali twarze dłońmi, wpadając na siebie nawzajem.

W ciągu zaledwie kilku sekund wewnątrz studia stanęło w ogniu, a w panującym żarze tancerze mieli wrażenie, że ktoś leje im w płuca płynne żelazo. Zielone nylonowe zasłony zwinęły się w zetknięciu z żywiołem, stojące pod ścianami wyściełane krzesła tliły się i kopcily, nawet lakier na parkiecie zaczął skwierczeć. Lustro na ścianie w drugim końcu sali zatrzeszczało i pękło po skosie.

Catrionę od stóp do głów spowijał ognisty całun. Próbowała ugasić płomienie, machając rękami jak mała doboszka i skacząc dookoła w budzącej grozę parodii potrójnej gigi. Jej rude loki skurczyły się i zwinęły, poza kilkoma kosmykami na czubku głowy, gdzie było ich najwięcej. Te płonęły teraz niczym świeczki na torcie urodzinowym. Upstrzona piegami blada twarz zmieniła się w czarną, demoniczną maskę z głębokimi szkarłatnymi bruzdami na czole i wokół oczu. Szmaragdowozielona sukienka zetliła się i nawet ciężkie czarne buty Catriony płonęły.

Powietrze w studiu było nie tylko piekielnie gorące, ale szybko wypełniało się gęstym, duszącym dymem. Przerażeni tancerze biegali bez ładu i składu, a ich buty stukały o drewniany parkiet.

– Trzymajcie się razem! – wrzeszczał schrypniętym głosem Nicholas. – Chwyćcie się za ręce! Trzymajcie się razem!

Brendan, zanosząc się kaszlem i z trudem oddychając, zdjął zawiązany w talii jasnoniebieski bawełniany sweter i trzymając go przed sobą, próbował przedrzeć się do Catriony, by pomóc jej zdusić płomień. W pewnej chwili zobaczył, że dziewczyna zachwiała się i upadła na bok; jej głowa z głuchym łupnięciem uderzyła o podłogę. Gdy dziewczyna przewróciła się na plecy, na jej poczeriałym ciele tliły się resztki materiału, nogi drżały, a ręce spoczywały na piersi złożone jak do modlitwy.

Przyklękął obok niej i ostrożnie wyciągnął do niej rękę. Z nabiegłych krwią oczu Catriony wyczytał, że go nie widzi; była zbyt bliska śmierci, by mógł ją ocalić. Przeżegnał się i kaszłąc, zerwał się z podłogi. Zakrył twarz swetrem i niezdarnie ruszył przez kłęby dymu i tańczące iskry ku reszcie grupy.

– Na poddasze! Wszyscy! – krzyknął Nicholas schrypniętym głosem. – Nie możemy zejść po schodach. Musimy iść na górę! Patrick! Pomóż Niamh, dobrze? Ciara, skarbie, tędy! No już, ruszajcie się! I trzymajcie się razem!

Machał rękami, kierując wszystkich w drugi koniec sali ku prowadzącym na strych małym drzwiom. Brendan był tam kiedyś – pomagał Nicholasowi wnosić pudła ze starymi kostiumami – wiedział więc, że jest tam okno mansardowe z widokiem na róg Shandon Street, które będą mogli otworzyć, by wezwać pomoc.

Jeszcze raz obejrzał się na Catrionę. Wśród kłębow dymu zobaczył, że wciąż leży na plecach, nieruchoma i otoczona płomieniami, jak gdyby jej ciało złożono na stosie pogrzebowym.

Obok niego mały Duncan ze sterczącymi czarnymi włosami zgiął się wpół i odkasływał długie nitki gęstej flegmy. Widząc to, Brendan chwycił chłopca za pasek i rękaw koszuli i potykając się, na wpół zaniósł, na wpół zawłókł go w drugi koniec studia. Pozostali tancerze zbili się w ciasną gromadę i przerażeni czekali, aż Nicholas wśród pędu kluczy znajdzie ten, który otwierał drzwi na poddasze. Słysząc było stłumione jęki i szloch, nikt jednak nie krzyczał ani nie zanosił się płaczem. Dym był zbyt gryzący, by mogli swobodnie oddychać, i większość z nich zakrywała usta rękami, jak gdyby nigdy więcej nie zamierzali się odzywać.

W chwili gdy Nicholas znalazł pasujący klucz, płomienie w studiu przygasły, przez co przypominały sforę agresywnych psów, którym kazano warować. Skwierczenie lakieru przycichło i tylko od czasu do czasu rozlegały się pojedyncze trzaski. W sali zapadła pełna napięcia cisza, którą przerwał szczepek klucza w zamku.

Święta Panienko, pomyślał Brendan. Zdawało się, że ogień się wypalił i nic im nie grozi. Z płucami obolałymi od wstrzymywania oddechu postawił Duncana pod drzwiami, które Nicholas pchnięciem otworzył na oścież.

Do studia z niemal radosnym świstem wpadło powietrze z poddasza. Ogień buchnął z jeszcze większą zajadłością, a ryczące płomienie sięgnęły pod sam sufit. Brendan poczuł na karku podmuch gorąca, a jego włosy stanęły w ogniu, choć on nie miał o tym pojęcia. W ciągu zaledwie kilku sekund pomarańczowe płomienie spowiły Nicholasa i jego uczniów od stóp do głów, zmieniając ich w rozwrzeszczane, machające ramionami żywe pochodnie.

Tańczyli przerażającą parodię *Blackthorn Stick*, podczas gdy ich włosy ulatywały z dymem, kopące strzępy ubrań

wzbijały się w powietrze, a buty niczym rzężenie konającego stukały o parkiet. Wyglądali jak tancerze z piekła rodem.

Jeden po drugim potykali się, wpadali na siebie i padali na podłogę, by tam już pozostać. Zdawało się, że ogień karmi się nimi, a jego apetyt rośnie wraz z każdym strawionym ciałem. Z rykiem przetoczył się po nich i zaczął piąć się po schodach na poddasze, pałac szalowy chodnik, jak gdyby wyczuwał, że ktoś jeszcze kryje się na górze, i zamierzał go odnaleźć.



## Rozdział 2

Katie wraz z komendantem MacCostagáinem przeglądała kwartalny budżet, kiedy usłyszała dźwięk syren dobiegający z pobliskiej remizy.

Z początku nie zwróciła na nie uwagi, starając się ustalić harmonogram dyżurów swoich ludzi tak, by możliwie jak najbardziej ograniczyć wydatki. Musiała też zatrudnić nowych detektywów, ponieważ detektyw sierżant Lynch i detektyw Ó Broin wiosną przechodzili na emeryturę, a żaden ze świeżo upieczonych funkcjonariuszy Garda Síochána nie mógł ich zastąpić.

– Nic nie zrobimy, Katie, ministerstwo obciąło nam koszty i tyle – powiedział komendant. Wyciągnął z kieszeni chusteczkę i głośno wydmuchał nos. – Tak czy siak, musimy znaleźć sposób, żeby trochę przyoszczędzić, nawet gdybyśmy mieli sprzedać radiowozy i jeździć domowej roboty wózkami dla dzieci.

– Mnie to nie przeszkadza. – Katie się uśmiechnęła. – Mój pierwszy chłopak woził mnie po okolicy w takim wózku i cholernie mi się to podobało. Ja miałam cztery lata,

a on sześć. Dalaigh, tak miał na imię. Pamiętam, że pachniał toffi. A może to były siuśki, tylko go idealizowałam.

Gdy chwilę później usłyszeli kolejną syrenę, a tuż po niej jeszcze jedną, MacCostagáin spojrział na Katie i uniósł krzaczastą siwą brew.

– Szykują się kłopoty – mruknął.

Sięgnął po stojący na biurku telefon, lecz w tej samej chwili z komórki Katie popłynęły dźwięki *Fear a' Bháta*. Wyjęła telefon z wewnętrznej kieszeni żakietu i przyłożyła do ucha. Dzwonił detektyw sierżant Begley.

– Pewnie słyszała pani te syreny. W szkole tańca Toirneach Damhsa wybuchł pożar. To w dole Shandon Street, niedaleko Farren's Quay, zaraz przy zakładzie pogrzebowym Jera Noonana. Właśnie dzwonił do mnie dyżurny; podobno w środku są uwięzieni ludzie.

– Powiedział ilu?

– Nie wie dokładnie, ale wygląda na to, że pożar wybuchł w trakcie zajęć, więc myślę, że co najmniej osiem osób. Wysłali tam sześć jednostek. Whalen, zastępca komendanta straży, jest już w drodze.

– Nadkomisarz Pearse wie o tym?

– Tak. Wysłał na miejsce inspektora Cafferty'ego. Wezwano pogotowie i Czerwony Krzyż, w razie gdyby potrzebowali więcej karettek.

Katie zakryła ręką głośnik iPhone'a i zwróciła się do komendanta:

– W szkole tańca na końcu Shandon Street wybuchł pożar. Podobno w budynku są ludzie. Może nawet osiem osób. – Cofnęła rękę i spytała Begleya: – Wiadomo, kto powiadomił służby?

– Dyżurny mówi, że któryś z przechodniów. Zobaczył

ogień w oknach i kłęby dymu na dachu. W sumie siedemnaście osób zadzwoniło pod sto dwanaście, niemal w tym samym czasie. Mamy ich numery, gdyby trzeba było później sprawdzić tych ludzi.

– Dobra, Sean, dzięki. Wybierasz się tam?

– Tak. Wezmę ze sobą O'Donovana i Markeya.

– Informuj mnie na bieżąco, dobrze? – Katie zamknęła księgę rachunkową i wstała. – Lepiej tam pojadę. Na miejscu będą pewnie dziennikarze. Skoro zastępca komendanta straży pofatygował się osobiście, chyba też powinnam się pokazać.

– Chryste – mruknął MacCostagáin. – Jedyne, co mnie przeraża, to myśl, że mógłbym utknąć w płonącym budynku. Tak zginął mój wujek Phelim. Co prawda nie utknął, tylko przysnął, ale rezultat był ten sam.

– Co się z nim stało? – spytała Katie, sięgając po torebkę, długopis i notatnik.

– Był zalany w trupa. Położył się, zapalił papierosa i zasnął. Był potężnym facetem, ale ciotka mówiła, że kiedy go znaleźli, wyglądał jak małpie truchło.

– Zjrzę do pana później – rzuciła, wychodząc. W pośpiechu poszła do swojego gabinetu i zdjęła z wieszaka wściekle żółtą kurtkę odblaskową. Dzień był szary i wietrzny, chociaż nie padało. Na dachu budynku po drugiej stronie ulicy przycupnęło kilka wron z piórami nastroszonymi od wiatru. Katie nie była przesądna, nie lubiła jednak takich wronich zgromadzeń – miała wrażenie, że zwiastują nieszczęście.

Idąc do wyjścia, zajrzała do sali odpraw i zawołała do detektywa Dooleya:

– Robert! Jadę do tego pożaru na Shandon Street! Sko-

czysz ze mną? – Widząc, że Dooley sięga po kamizelkę od-  
blaskową, powiedziała: – Opuść sobie. Nie chcę, żebyś się  
rzucił w oczy.

Detektyw Dooley był najmłodszym mężczyzną detekty-  
wem w jej grupie. Ubrany w jegginsy, z włosami zaczesany-  
mi do góry, wyglądał jak student college’u, choć niedawno  
obchodził dwudzieste czwarte urodziny. Jednym z powo-  
dów, dla których Katie chciała wziąć go ze sobą, było to,  
że potrafił zniknąć w każdym tłumie, zwłaszcza wśród mło-  
dych ludzi. W przypadku dużych pożarów strażacy walczyli  
z ogniem, a detektywi Katie skupiali uwagę na stojących  
w tłumie ludziach. Ponad siedemdziesiąt pięć procent pod-  
palaczy kręciło się wokół budynków, które podpalili, bo lu-  
bili patrzeć, jak płoną.

Detektyw Dooley ruszył za Katie w kierunku windy;  
przyspieszył kroku, by ją dogonić.

– Na RedFM nadają na żywo z miejsca pożaru – poin-  
formował ją, kiedy zjeżdżali na parter. – Rozmawiali przez  
telefon z gościem, który prowadzi grupę tancerzy. Nazywa  
się Danny Coffey czy jakoś tak. Powiedział, że w budyn-  
ku było co najmniej szesnaście osób, plus nauczyciel. Byli  
w trakcie próby generalnej przed festiwalem, który ma się  
odbyć w przyszłym tygodniu.

– Danny Coffey, tak – upewniła się Katie. – Słyszałam  
o nim. Jeśli dobrze pamiętam, zaczynał razem z Michaeliem  
Flatleyem. Co mówili? Czy któryś z tancerzy zdołał wydo-  
stać się z budynku?

– Na razie nic nie wiemy. Nie mamy też żadnych wieści  
od inspektora Cafferty’ego.

Szybkim krokiem przecięli lśniąca czystością recepcję  
i skierowali się w stronę wyjścia na parking. Mieli już opu-

ścić budynek, gdy Katie kątem oka zauważyła błysk otwieranych szklanych drzwi, a gdy się odwróciła, zobaczyła Conora Ó Máille'a wchodzącego do komendy.

Matko Boska, pomyślała. Tylko nie teraz. I nie przy Dooleyu.

Zobaczywszy ją, Conor minął biurko oficera dyżurnego. Jego ciemna broda była świeżo przystrzyżona; miał na sobie długi, oliwkowy płaszcz przeciwdeszczowy i wyglansowane, jasnobrązowe półbuty. Katie zatrzymała się, podczas gdy detektyw Dooley cofnął się o kilka kroków. Jak wszyscy na komendzie przy Anglesea Street, on również wiedział, że między Katie a tym mężczyzną coś się wydarzyło. Słyszał też, że żona Conora szukała go tutaj.

– Katie? – zaczął Conor. Na jego twarzy skrucha mieszała się ze złością. Sześćioletni Dalaigh ze swoim wózkiem mógł pachnieć toffi albo siuškami, ale Conor Ó Máille pachniał wodą po goleniu Chanel Bleu. Jego oczy miały barwę mahoniu.

– Jadę do pilnej sprawy – mruknęła Katie i na potwierdzenie swych słów podniosła kłapy kurtki odblaskowej. – Pewnie słyszałaś syreny.

– Tak, oczywiście. Po prostu muszę z tobą porozmawiać.

– Ja z tobą też. Głównie o walkach psów. Ale ta rozmowa będzie musiała poczekać do mojego powrotu. Mamy ludzi uwięzionych w płonącym budynku.

– Dobrze – odparł Conor. – Zadzwonisz do mnie?

– Nadal mieszkasz w pensjonacie Gabriel House?

– Tak, ale jutro wracam do Limerick.

– Do pani Ó Máille? – spytała Katie i natychmiast tego pożałowała.

– Katie... – zaczął i wyciągnął do niej rękę.

– Zadzwoń później – rzuciła. – Teraz muszę iść. Są ludzie, których sytuacja jest znacznie bardziej dramatyczna niż moja czy twoja.

• • •

Skręciwszy w Merchants Quay, zobaczyli wiszącą nad rzeką czarną chmurę dymu, a przejeżdżając przez Patrick's Bridge, dostrzegli błyskające niebieskie światła i sześć wozów strażackich zaparkowanych w strefie zamkniętej dla ruchu kołowego przed szkołą tańca Toirneach Damhsa. Jer Noonan, przedsiębiorca pogrzebowy, przeparkował karawan nieco dalej na Shandon Street, żeby nie blokować drogi; zostawił go na rogu North Abbey Street z widoczną w środku ciemną dębową trumną i wieńcem białych róż, oraz szarfą z napisem TATUSIOWI. Po drugiej stronie Griffith Bridge zebrał się spory tłum, ponad dwieście osób, a kolejni gapie tłoczyli się wzdłuż North Mall po tej stronie rzeki. Drogię zagradzały im radiowozy zaparkowane na skos po drugiej stronie ulicy. Pod drzewami czekały cztery ambulansy, a dwa następne były w drodze. Ich niebieskie światła błyskały wzdłuż Bachelor's Quay.

Pomalowany na niebiesko pub Friary został ewakuowany, choć jeden z gości stał w otwartych drzwiach, z papierosem w jednej dłoni i kuflem portera w drugiej, zupełnie jakby nie zważał na panujący dookoła chaos.

Kiedy Katie wysiadła z samochodu, przytłoczył ją hałas silników Diesla, pokrzykiwania strażaków i ryk wody tryskającej pod wysokim ciśnieniem z węży strażackich. Kłęby szarego dymu płynęły na drugą stronę rzeki, niosąc ze sobą gryzącą woń palonego drewna i plastiku, i inny osobliwy zapach, kojarzący się Katie z grillem. O białą fasadę

budynku, w którym mieściła się szkoła tańca, oparto trzy drabiny – dwie od frontu i jedną w bocznej uliczce. Strażacy od frontu wybili szyby i zalewali wnętrza budynku strumieniami wody. Ten, który stał na drabinie w bocznej uliczce, siłował się z zasłaniającą okno przerdzewiałą siatką drucianą, żeby dostać się na półpiętro.

Z okien i dachu waliły kłęby dymu upstrzone pomarańczowymi iskrami. Katie zauważyła, że niektóre krokwie musiały spalić się do cna, bo szare dachówki zapadły się do środka. Na jej oczach okno mansardowe runęło za fasadę budynku.

Widziała, jak detektyw Dooley przechodzi na drugą stronę ulicy, by wmieszać się w tłum; sama przeszła ostrożnie między zwojami czerwonych węży i dołączyła do zastępcy komendanta straży pożarnej, stojącego nieopodal w towarzystwie dwóch inspektorów ochrony przeciwpożarowej. Wśród dziennikarzy zgromadzonych na rogu Farren's Quay zobaczyła Fionnualę Sweeney z RTÉ, Fergusa O'Farella z RedFM, Jean Mulligan z „Evening Echo” i pracującego jako wolny strzelec Jimmy'ego McCrackena, który prawdopodobnie będzie relacjonował telefonicznie dla „Examinera”. Pojawienie się Katie było dowodem na to, jak poważna jest sytuacja.

– Co się dzieje, Matthew? – zwróciła się do zastępcy komendanta straży pożarnej.

Matthew Whalen był roslym, tęgim mężczyzną, którego szyja wylewała się z kołnierzyka koszuli, a pas munduru wrzynał się w pokaźny brzuch. Policzki miał tak czerwone, że wyglądały, jakby lata walki z pożarami przypiekły je na dobre, a rude wąsy i brwi tak zjeżone, jak gdyby chwilę temu stanęły w ogniu. Choć sprawiał wrażenie wybuchowego, Katie współpracowała z nim przy okazji kilku po-

ważnych spraw, między innymi powodzi, wycieków gazu i zawalonych budynków, i wiedziała, że jest człowiekiem spokojnym, opanowanym i bardzo doświadczonym.

– O, Katie, jak leci? Na razie wiemy tylko, że w szkole tańca na pierwszym piętrze było w sumie siedemnaście osób. Szesnaścioro tancerzy i nauczyciel. Na razie nie mamy żadnego z nich. Niebawem gwałtowny ten pożar. Minie jeszcze kilka minut, zanim będziemy mogli wejść do środka. Problem w tym, że schody się zawaliły, więc będziemy zmuszeni wejść przez okna, a to znaczy, że wpuścimy do środka kolejną porcję tlenu.

Katie widziała płomienie, raz przygasające, raz strzelające w górę z nową siłą, jakby szydziły ze strażaków, którzy próbowali je ugasić.

– Wiecie już, co go mogło zaproszyć?

Matthew Whalen wzruszył ramionami.

– Wolę nie wyciągać pochopnych wniosków. Te stare budynki mają to do siebie, że podczas pożaru nagrzewają się jak piece hutnicze. Zewnętrzne ściany są grube, ale cały środek to spróchniałe drewno, lakier i wypaczone drzwi. Ale, jak mówię, ten pożar jest wyjątkowo gwałtowny. Tak między nami, wcale bym się nie zdziwił, gdyby się okazało, że ktoś celowo podłożył ogień.

W kłębach szarego dymu Katie zobaczyła, że strażak w bocznej alejce uporał się z oknem; przy wtórce tłuczonego szkła spadło na ulicę w dole. Z aparatem tlenowym na twarzy, podsadzany przez dwóch innych strażaków, przeszedł przez wnękę okienną i znalazł się na półpiętrze.

Pracujący z przodu budynku strażacy zalewali strumieniami wody ostatnie płomienie w budynku. Kłęby dymu walące z okien szkoły były tak gęste, że chwilami na dobre przesłaniały widoczność.



– Wątpię, by ktokolwiek przeżył – odezwał się Matthew Whalen. – Zaraz po przyjeździe Jim rozmawiał ze świadkami. Nikt nie widział, by ktokolwiek stał w oknach i machał... w ogóle nikogo nie widzieli.

Jeden z inspektorów, niejaki Phelan, pokiwał głową.

– Widzieli tylko płomienie. Jakiś świadek stwierdził, że rozpętało się tu prawdziwe piekło. Nie słyszeli żadnych krzyków ani wołania o pomoc.

Inspektor Cafferty nadzorujący tłum gapiów podszedł do nich i stanął obok Katie. Był szczupłym, tyczkowatym mężczyzną o poważnej twarzy, haczykowatym nosie i pieprzyku na brodzie.

– Co słyhać, pani nadkomisarz? – zagadnął Katie. – Matko Boska, koszmarna sprawa. To bez wątpienia najgorszy pożar, z jakim miałem do czynienia. Ten w N-Steak House przed miesiącem był fatalny, ale przynajmniej nikomu nic się nie stało. Mam nadzieję, że któryś z tych biedaków wyjdzie z tego z życiem, ale szanse są marne.

Zaczęło się siąpić, więc kiedy Katie zadarła głowę, by spojrzeć na szczyt budynku; musiała przesłonić ręką oczy. Sama nie wiedziała, dlaczego podniosła wzrok. Może usłyszała trzask pękających belek i grzechot dachówek wpadających na poddasze. Ale była pewna, że nad krawędzią gzymsu dostrzegła głowę z ciemnymi włosami. W pierwszej chwili pomyślała, że to gołąb, choć było mało prawdopodobne, by ptak przysiadł na szczycie płonącego budynku. Może jej się zdawało i w rzeczywistości zobaczyła końcówkę poczerwiałej od ognia krokwi, choć kształt wydawał się bardziej zaokrąglony. Równie dobrze mogła to być nasada kominowa.

Zamierzała się odwrócić, żeby zobaczyć, jak detektyw Dooley radzi sobie w tłumie, kiedy ciemny kształt znów się pojawił, i tym razem pozostał w zasięgu wzroku. Ku

swemu przerażeniu Katie zobaczyła, że to głowa dziecka, małej dziewczynki o twarzy białej jak płótno, ciemnych oczach i ciemnych włosach splecionych w warkocz. Uwaga wszystkich była skupiona na oknach pierwszego piętra, gdzie pięciu strażaków w aparatach tlenowych wchodziło do budynku, ciągnąc za sobą węże. Tymczasem dziewczynka spoglądała w dół na Katie, nieruchoma i milcząca.

– Matthew! Patrz! – Katie szarpnęła Whalena za rękaw i wskazała na gzyms.

– Jezu Chryste! – jęknął zastępca komendanta straży. – Jim! Patrick! Tam jest dziecko!

Phelan natychmiast sięgnął po krótkofalówkę.

– Charlie Dwa! Charlie Dwa! Podjedź pod budynek od frontu i wysuń podnośnik koszowy! I pospiesz się! Na dachu jest jakiś dzieciak!

Strażacy natychmiast oczyścili chodnik przed budynkiem. Zaparkowany nieco dalej mercedes z podnośnikiem koszowym ruszył powoli i cofając się, podjechał niemal pod drzwi wejściowe; zatrzymał się między dwiema drabinami opartymi o okna. Z hydraulicznym sykiem kosz i stojący w nim dwaj strażacy ruszyli w górę i niespełna dwie minuty później zatrzymali się przy krawędzi dachu. Katie cofnęła się, żeby mieć lepszy widok, jednak ulatujące z okien kłęby dymu niemal całkowicie przesłaniały widoczność.

W końcu zobaczyła, że jeden ze strażaków wchodzi na dach. Chwilę później wziął na ręce dziewczynkę, która kulila się w rynnie za gzymsem, i ostrożnie wrócił z nią do kosza. Kiedy wszyscy troje wrócili na dół, wśród zgromadzonego na nabrzeżu tłumu rozległy się oklaski i okrzyki uznania.

Dwaj sanitariusze ze Szpitala Miłosierdzia pospieszyli ku dziewczynce z noszami na kółkach i położyli ją na nich.

Katie przypuszczała, że mała ma mniej więcej dziewięć lat. Była chudziutka i długonoga, ubrana w czarne obcisłe getry i luźną różową tunikę z aplikacją w kształcie smutnego królika. Twarz miała umazaną sadzą i zanosiła się kaszlem, więc sanitariusze założyli jej maskę tlenową.

Katie pochyliła się nad nią, ujęła ją za rękę i uśmiechnęła się pocieszająco. Dziewczynka patrzyła na nią dużymi brązowymi oczami, opuchniętymi i czerwonymi od dymu. Okalające je długie rzęsy były zlepione od łez.

– Jesteś bezpieczna, skarbie – odezwała się łagodnie Katie. – Ci mili ludzie zajmą się tobą. Zabiorą cię do szpitala i zadbają, żebyś mogła swobodnie oddychać. Porozmawiam z tobą później, kiedy poczujesz się lepiej.

Mała przyglądała się jej, nie przestając kasłać.

– Myślisz, że możesz coś dla mnie zrobić? – spytała Katie. – Powiesz mi, jak masz na imię?

Jeden z sanitariuszy podniósł maskę, tak by dziewczynka mogła mówić, ale ona wpatrywała się w Katie bez słowa. Chwilę później znowu się rozkasłała, więc mężczyzna nałożył jej maskę z powrotem.

– To nic – zapewniła ją Katie. – Zaczekamy, aż wyzdrowiejesz. Do zobaczenia.

Sanitariusze wsunęli nosze do karetki. Pozostałe ambulansy czekały w pogotowiu, ale choć dym stopniowo się przerzedzał, było coraz mniej prawdopodobne, by ktoś jeszcze miał trafić do szpitala.

– Chryste, jest mniej więcej w tym samym wieku co moja córka Orla – odezwał się Cafferty, odprowadzając wzrokiem odjeżdżającą karetkę. – Bóg jeden wie, jak się tam uchowała.

– Jak to możliwe, że ona jedna wy dostała się na dach? – zastanawiała się na głos Katie. – Może pozostali zamknęli

się w jakimś pomieszczeniu i nic im nie jest? Miejmy nadzieję.

Ledwie to powiedziała, a podszedł do nich Matthew Whalen. Twarz miał posepną.

– Złe wieści, Katie – rzucił, podnosząc krótkofalówkę. – Moi ludzie znaleźli ciała i z tego, co wiem, doliczyli się siedemnastu. Wygląda na to, że próbowali uciec na poddasze, ale im się nie udało.

– Siedemnaście? – wtrącił się Cafferty. – To praktycznie cały zespół. Matko Boska, nie dalej jak latem byliśmy na występie Toirneach Damhsa w Operze. Byli fantastyczni.

– Cóż, inspektorze, obawiam się, że więcej już nie zatańczą – powiedział zastępca komendanta straży. Zdjął czapkę i wierzchem dłoni wytarł spocone czoło. – Ostatni raz będą występować przed patologiem.